Hołdakowska, Julia

Nauczycielskie dole i niedole

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 4, 209-215

1990

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

JULIA HOŁDAKOWSKA

Pamiętnik

NAUCZYCIELSKIE DOLE I NIEDOLE

Autorka (z d. Karwowska) ur. w 1911 r. we wsi Borki nad Orzem mieszka obecnie w Długosiodle. Pracę nauczycielską rozpoczęła w 1930 r. z mężem Kazimierzem, z którym razem działała w konspiracji w czasie okupacji w ZWZ. W latach 60-tych była posłanką na Sejm jako reprezentantka nauczycieli.

Rok 1944 — rok oczekiwań, nadziei, a dla mnie rok głębokiego smutku, rozpaczy.

Dwa lata od aresztowania męża (5 maja 1942 r.) oczekiwałam na jego powrót i cały mój wysiłek (skoro nie udało mi się uwolnić) włożyłam w to, by przetrwał. Stąd wysyłanie paczek na różne sposoby i nazwiska: na Pawiak, Gross-Rosen, Oranienburg — większe, do 5 kg — do Oświęcimia-Birkenau zaledwie po 25 dkg, stąd trzeba było do 20 paczuszek włożyć suchary nasycone tłuszczem, cebulę, ewentualnie coś jeszcze, wieczorem z workiem pójść pod wartownię do pana Lalaka, by jadąc z Niemcami do Pułtuska wysłał za marki, których my jako tzw. "Generalna Gubernia" nie mieliśmy.

W krótkich, jakże lakonicznych listach w języku niemieckim, pisał co otrzymał, ale i to nie pomogło, gdyż zaledwie na dwa miesiące przed wyzwoleniem nas, otrzymałam wiadomość, że zmarł.

To, co wiem od prof. Cichonia, jego przyjaciela, który cudem ocalał, z którym na jednej pryczy i pod jednym kocem spał, to obaj płakali jedząc nadgryzione przez dzieci suchary. Razem też biegali kłusem boso po kamienistej drodze, w kamieniołomach, popędzani przez psy.

Jedyne przyjemne chwile — to były "żagle". Był to lot myślą w przestrzeń skurczonego, zbolałego człowieka, nierzadko z połamanymi żebrami, do swoich bliskich, domu rodzinnego, a zwłaszcza do dzieci.

Nie pisałam nigdy o chorobach w rodzinie, ale oni mieli tak wyostrzoną intuicję, że zawsze wyczuwali troski domowe.

O nauczycielach, członkach ruchu oporu, pisał dr Pajka: "mocarz to był ogromny o silnej woli, który wierzył, że wojna się kończy, sprawiedliwość zwycięża, aby tylko do swoich".

Niestety, w czerwcu 1944 r. otrzymałam wiadomość, że 18 kwietnia 1944 r. już nie żył, gdy Długosiodło zostało wyzwolone w końcu sierpnia.

Czy mogłam wówczas podzielać ogólną radość? Przygnębienie towarzyszyło mi szereg lat, a i dziś wraca mi często, gdyż to wpłynęło na los mojej rodziny. Trudny okres, jaki cała ojczyzna przeżywała, zmuszał mnie do trzeźwego spojrzenia w życie. Trzeba było wychować.

Wysiedlano mnie z mieszkania wiele razy, cztery razy Niemcy, gdyż ktoś "usłużny" doniósł, że znam język niemiecki. Zresztą cierpnie mi skóra, gdy przypomni mi się kilka dni w Alei Szucha w Warszawie z maleńkim synem na ręku podczas dochodzeń. Sądzę, że tylko to małe dziecko mnie uratowało.

Nalot na Długosiodło spowodował pożary, gdyż tu stacjonował akurat w moim mieszkaniu główny dowódca niemiecki, gen. Modell. Zaraz po nalotach wojsko

niemieckie przesunęło się w lasy. Do dziś pozostały głębokie wykopy po ciężarówkach czy czołgach, które są doskonałym miejscem do chwili zadumy nad losami naszej Ojczyzny.

Do najbardziej smutnych przeżyć należało wypędzanie Żydów. Skupiło się ich mnóstwo: uciekali spod tzw. "Prus Wschodnich" — od Makowa, Przasnysza, Działdowa czy Pułtuska, ciągnęli tu razem z Polakami dniami i nocami, kryli się w domach i ogrodach z dziećmi, węzełkami — istny obraz zgrozy.

I oto w tragicznym dniu późną jesienią Niemcy zwołali wiec, otoczyli po prawej stronie ustawionych Żydów i na koniach z psami popędzali ich w stronę Ostrowi Mazowieckiej, jakoby do granicy radzieckiej. Ale droga ich wiodła tylko do lasu pod miastem, gdzie na nich oczekiwały przygotowane doły i działa i tylko drgające bryły ziemi były świadkiem tej strasznej tragedii.

Po kilku latach spotkałam na ulicy ucznia, Gryszpana Arona, który z siostrą Lonią, nie czekając na wiec, uciekli aż do Moskwy. W momencie spotkania był dostawcą skór dla wojska i nawet poprosił nas na obiad, który wówczas mógł być tylko w pamięci, lub marzeniach.

W tym trudnym okresie okupacji mieliśmy choć fałszywe, ale krótkie przebłyski nadziei.

Oto w 1941 r. wiosną z lasu do Bosewa wyjechał oddział partyzantów na koniach. Myśleliśmy, że to koniec wojny, a to był początek męczarni, bo zaraz po 3 dniach zemsta niemiecka skupiła się na aresztowaniach. Wtedy to zabrano kol. Morawskiego Ignacego, nauczyciela, który zaintonował po nabożeństwie "Boże, coś Polskę".

W pierwszym okresie Niemcy, zajęci wojną zostawili nas pod zarządem Niemców z Marianowa, wówczas kolonii niemieckiej, którzy z cichych pokornych stali się władzą na czele z Ob. Guderianem (wójtem) i Szrederem (sekretarzem). Oni to nakazali nam w ciągu 12 godzin opuścić mieszkanie, które zajmowaliśmy. Choć budynek szkolny (oprócz szyb) budowany w latach 1934-38 przez mego męża ocalał, to nie był ani jednego dnia szkołą. W 1939 roku był magazynem zbożowym dla wojska polskiego, następnie szpitalem wojskowym niemieckim, potem szpitalem zakaźnym, w końcu miejscem kaźni po obławach, których świadkiem została zbiorowa mogiła, a czerwone ściany od krwi były niezbitym dowodem tego, co się tu działo.

W roku 1945 wysiedliło nas wojsko radzieckie, zajmując mieszkania. Wówczas w lesie koło cmentarza stacjonowało dowództwo z Marszałkiem Rokossowskim. Oglądałam je dopiero wtedy, gdy front poszedł naprzód. Ale zanim to nastąpiło, oglądaliśmy z daleka powitanie Nowego Roku. Strzelające w górę kolorowe rakiety o północy zerwały chyba każdego na nogi, gdyż przeżywaliśmy to po raz pierwszy. Ten okres poprzedzał to tzw. styczniowe nasilenie, które wróżyło nam wyzwolenie Ojczyzny z pęt hitleryzmu. Ja byłam wówczas na wysiedleniu. Ksiądz Dobecki był również członkiem ruchu oporu i przyjął mnie na okres zimy. Było nas tam 48 osób z różnych stron. Czasem można było ugotować coś, np. krupnik, ale często było to niemożliwe.

Pamiętam — Wigilię — 52 osoby przy stole. Jedno dziecko na kolanach, drugie obok. Na stole parujące ziemniaki, surowa kapusta i opłatek. Jakie to było pyszne! Od samego zapachu robiło się słabo.

Kiedy uderzenie styczniowe zmusiło Niemców do cofnięcia się, wojska radzieckie poszły naprzód i wtedy to mogliśmy ukradkiem zobaczyć rezydencję wojenną Marszałka Rokossowskiego, której strzegli obecnie dozorcy. Były to piękne drewniane budynki, malowane ochronnie, imitujące lasy, przeznaczone na mieszkania, narady, klub i kino. Po kilku miesiącach zostały rozebrane i wywiezione do Kraju Rad. Ale zanim byliśmy już pewni nadziei i zwycięstwa, przeżywaliśmy dni grozy. Im akcje odwetowe i sabotażowe potęgowały się, tym narastała mściwość hitlerowska. Trudno te wszystkie momenty

utrwalić: zamach na "landrata" (starostę) w Ostrowi Mazowieckiej, zamach na Paca — kierownika Tartaku Przetycz, pogrom całych rodzin (ponad 400 osób) w Lipniaku Majoracie, gdzie dziś miejsce to jest pod opieką szkoły w Pecynie. Akcja "Zośka" w Sieczychach — dziś mogiła symboliczna, gdzie odbywają się zloty harcerskie. Wreszcie "Pecynki" — otoczony regularny oddział partyzancki 13 p. piechoty ze skoczkami radzieckimi, z których tylko część zdołała się uratować. Dziś miejsce pamięci narodowej.

I wreszcie nadeszło wyzwolenie i ono przerwało zemstę Niemców. Pamiętam koniec sierpnia — godzina 4 rano. Wyglądamy ze schronu w ogrodzie. Głęboki rów pod kątem, przysypany ziemią. Ja z dziećmi, razem około 20 osób. Nasza opiekunka wyszła, by nam zrobić kawy. Było to wiadro gorącej wody, odrobinę osłodzone w to 1/2 l. mleka, trochę kawy zbożowej i chleb. Nagle od lasu i pola chyłkiem podbiegają żołnierze. Usłyszeliśmy "Germańcy niet?" Przydała się w samą porę gorąca kawa i chleb. Zwiad nie szedł drogą, gdyż te były podminowane, ale polami, pełnymi dziesiątków zbóż, których wówczas było dużo.

Nam jeść się nie chciało. Łzy radości wystarczyły nam. Pod wieczór dostaliśmy trochę ugotowanej kaszy. Żołnierze radzieccy cofnęli się. W Długosiodle w najlepsze gościli jeszcze Niemcy. W nocy wojska radzieckie podeszły pod wieś i wtedy to całą noc nikt z nas nie spał. Natarcie było tak silne, że Niemcy wyszli z Długosiodła, ale tylko do lasu. Osiedle zajęły wojska radzieckie. W ciągu dnia było cicho, tylko samoloty penetrowały teren lub pozdrawiały hitlerowców bombami. Kolejna noc — znowu atak, w wyniku czego armia radziecka cofnęła się do Narwi. Kiedy rankiem wszystko ucichło, pobiegłam dookoła lasu do mieszkania. Ani kawałka płotu. Dookoła okopy i masa łusek od naboi. Mieszkanie otwarte, okna bez szyb i ram. Dach — dachówka jak sito — ale stoi. Pocałowałam próg i rozszlochałam się. Zostawiłam jak było i chyłkiem do dzieci. Następnego dnia znowu pobiegłam. Samoloty ciągle buczały. Pole od lasu usiane zabitymi. Ale w narodzie polskim byli szakale, którzy poległym ściągali buty, skarpety, zegarki i pieniądze.

Nie pozwolono nam wrócić do mieszkań, gdyż zajmowało je wojsko. I tak przeszła kolejna zima. Byliśmy wolni. Władzę sprawował Ob. Major Rolenko. Dzień i noc wędrowały samoloty. Kierunek Warszawa — Powstanie. Łuny dniem i nocą, i wybuchy. Obowiązywało nas zaciemnienie. Uruchomiono szkołę. Otrzymaliśmy rozkaz zwołania dzieci, ale przychodziły one brzegiem lasu, przynosząc po drodze kawałek drzewa. W szkole w oknach deski i światła tyle, ile zdołało się przedrzeć przez szczeliny. Siadaliśmy na podłodze koło pieca w paltach. Zajęcia trwały tyle, ile zdołaliśmy wytrzymać. Nauczyciel był wszystkim: książką, zeszytem, tablicą. Potem ktoś przyniósł deseczkę i kredę — pewno sprzed wojny, bo podczas okupacji dzieci uczyły się na werandach, nawet w zimie, mając tylko "Stery" do pomocy. Deseczka — to już dużo, bo napisane wyrazy dały się łatwo rękawem zetrzeć. A tabliczka mnożenia? Na każdym poziomie to był istny raj! Nie było gdzie tylko piątek stawiać. Omawialiśmy bieg wydarzeń, a jak kto spod podłogi wyciągał radio kryształkowe, to opowiadał cichutko, żeby ściany nie podsłuchały. Otrzymaliśmy na miesiąc po 500 zł. (kiedy kg. masła kosztował 600 zł.). Ale to nie było ważne! Ważne było to, że nauka trwała, że docierały do nas bardziej pocieszające wieści, huk dział oddalał się i wiosną wróciliśmy do swoich mieszkań. Były one bez szyb, ale nikt się nie obawiał mieszkać, ludzie na pewno byli lepsi. Ja do zimy zdołałam oszklić tylko 1 okno, bo na nie trzeba było przeznaczyć całe pobory miesięczne. Skończyła się ta zmora kartek na chleb. Nie zrozumie tego nikt, kto nie przeżył tego okresu: trzy i pół kg chleba jakiegokolwiek, trochę cukru, marmolady i kawy, to cały przydział. A obecnie dostaliśmy trochę z zapasów wojskowych trochę ziemniaków, mąki na chleb i coś tam jeszcze. Życie na dobre zaczęło się wówczas, gdy dotarła do nas wieść o zakończeniu wojny. Łuny nad Warszawą wygasły, zostały gruzy. Na ulicach sprzedawano wodę. I rok za rokiem sypią

się rocznice: Powstanie Warszawskie, a to 17 stycznia — wyzwolenie Warszawy, a to bitwa o Kołobrzeg i wreszcie Berlin — białoczerwona flaga na murach Reichstagu, to wszystko wraca, wspomnienia wywołują łzy.

Trzy razy byłam w Oświęcimiu, za każdym razem przywiozłam garść ziemi, by złożyć ją w rodzinnej mogile — to wszystko, co mogłam zrobić. Raz mieliśmy tak wspaniałego, młodego przewodnika, który zadziwił postawą, wymową, godnością — napisałam do Dyrekcji Muzeum, dziękując i jakąż otrzymałam odpowiedź: wyróżniono go, a ten pan przysłał tak piękne podziękowanie, że z satysfakcją wszystkim odczytałam. Gdyby jeszcze raz takiego przewodnika w życiu spotkać! Czas nie stoi w miejscu.

Dopiero następny rok był podobny do normalnego, kilka zniszczonych ławek i jakiś stolik. Nauczyciele przechodzili roczne Studium Marksizmu, zakończone egzaminem. Do dziś pamiętam 4 typy spółdzielni produkcyjnych, a na egzaminach otrzymałam oceny bardzo dobre.

Ponieważ wiedziałam, że kobiecie trudno utrzymać się na jakiejś pozycji społecznej, a musiałam sama wychowywać dzieci, przyjęłam propozycję i zgłosiłam się na 5-letni Instytut Pedagogiki prof. Baleya (mimo, iż ukończyłam dodatkowo studia we Lwowie). Cóż to był za trud dla mnie! Starszy syn musiał opiekować się domem (miał wtedy 10 lat), młodszego wywoziłam do babci. Ale mężczyźni na stanowiskach kierowniczych najczęściej nie lubią kobiet mądrzejszych od siebie i ja to odczuwałam przez całeżycie. Moralne oparcie miałam w organizacji Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, gdzie kulturalnej metody pracy i zaangażowania koledzy potrafili mnie nauczyć. Zostałam radną powiatową w Ostrowi Mazowieckiej. Przy braku jakiejkolwiek komunikacji trzeba było o 6 rano iść do Dybek pieszo (10 km), stąd okazją do Ostrowi Mazowieckiej, a po sesji nie było powrotu, więc pociągiem do Ostrołęki, tu przesiedzieć do rana, by przyjechać do Przetyczy, szybko pieszo do domu, ugotować dzieciom coś do zjedzenia i jeszcze szybciej do szkoły. Przed takim wyjazdem gotowałam dzieciom pyzy ziemniaczane, by mogli sobie odgrzewać do skutku. Czasem pan Dudziński przyjechał własnym pojazdem, zabierał mnie, u nich nocowałam, by skoro świt pieszo przejść 7 km i znowu do szkoły. Czy dzisiaj ktoś z nauczycieli zgodziłby się na takie warunki? A potem zaangażowano mnie w pracę z kobietami na wsi i tak trwało do końca. W pracy w szkole nigdy nie miałam oceny niższej jak dobra lub bardzo dobra, a chyba jak nikt nie prowadziłam tylu tzw. lekcji pokazowych z różnych przedmiotów. W roku 1966 zostałam posłem i wtedy nauczyłam się bardzo dużo. Już wtedy moi chłopcy byli na studiach: Marek na ekonomii uniwersyteckiej, a Miecio na geografii. Prowadzić dzieci po 10 lat poza domem (4+6) to dla samotnej matki nie lada wysiłek. I tego też mi wielokrotnie zazdroszczono. Ale chłopców wychowałam może dziwnie, bo obaj nie palą i nie piją, choć do dziś mnie doskonale rozumieją.

Czy jestem szczęśliwa? Chyba nie, bo zostałam sama. Nigdy nie przyszło mi nawet na myśl powtórne małżeństwo. Zbyt dobrego miałam męża i to krótko. Musiałam wychować dzieci. Nadeszła emerytura. Załamałam się. Całe życie byłam ruchliwa, 4 ściany nie wystarczyły mi nigdy. Gotować nie umiem i nie lubię. Nie umiałam żyć poza nawiasem społeczeństwa. Wtedy większość dni przepłakałam. Całe życie byłam samodzielna i wtedy Pani dyrektor Ciunkiewicz przyjęła mnie na ryczałt do czytelni G.B.P. (choć kandydatek było więcej). Przestałam płakać, wróciła mi ochota do życia. Książka, której siła i potęga jest tak wielka, była znów blisko mnie. Pamiętam, kiedy spadły na mnie ciosy, to tylko książka zdolna była przywrócić mi równowagę i psychikę. To samopoczucie, że nie tylko ja tyle wycierpiałam, dodawało mi sił do wytrwania i trzeźwe spojrzenie na bieg wydarzeń. Nie wiem, jak to jest, ale do dziś G.B.P. jest moim moralnym oparciem. Dzięki niej jestem normalnym człowiekiem, który choć wycierpiał wiele, ale ma prawo do jakiegoś

przeciętnego życia. Samotność jest straszna, ale w moim wypadku nieunikniona. Do dziś jestem związana z pracą kobiet, ZSL i wszelkimi formami życia społecznego w środowisku. A tyle mamy do zrobienia w naszym kraju. Zdawało mi się, że dla wsi zrobiliśmy bardzo dużo. Byłam przewodniczącą komitetu elektryfikacyjnego, wylałam tu wiele łez — spółki wodnej (dziś mamy wodę), inicjatorką i zapleczem budowy pierwszego w powiecie Ośrodka Zdrowia i działaczem na odcinku kultury. A co dziś? Etyka, moralność gdzieś się zapodziały, na powierzchnię wypłynął spryt, cwaniactwo, niegodziwość, a w dziedzinie kultury cofnęliśmy się. Kiedyś prowadziliśmy Uniwersytet Powszechny, przez kilka lat szkołę społeczno-polityczną dla kobiet, kursy języka niemieckiego i angielskiego, kroju i szycia, pieczenia i gotowania — i co jeszcze? Wiele, wiele form. A dziś brak nam od kilku lat Ośrodka Nowoczesnej Gospodyni. Przy braku Gminnego Ośrodka Kultury pracę kulturalną w środowisku musi wspólnie ze szkołą prowadzić Gminna Biblioteka Publiczna. I tu każda szersza impreza musi zacząć się od zdobycia zaufania, dobrych układów z instytucjami i zakładami pracy, gdyż kultura to wspólna sprawa wszystkich, którzy w podniesieniu środowiska widzą realny warunek poprawy atmosfery życia i pracy w naszym kraju. I praca na tym odcinku musi być procesem ciągłym.

U nas cieszymy się, że w II półroczu bieżącego roku rozpocznie się rozbudowa remizy OSP, w której znajdzie się jedno pomieszczenie nowoczesne na G.B.P. i sala na imprezy kulturalne, izbę regionalną itp. Sądzę, że wówczas i warunki pracy będą łatwiejsze i efekty lepsze. Obecnie poza obowiązującymi nas zadaniami wewnętrznymi w GBP realizujemy program kulturalnej działalności w każdym okresie.

W bieżącym roku imprezy organizujemy pod kątem 40-lecia Polski Ludowej. Ileż to satysfakcji daje człowiekowi przekazywanie żywej historii, której nie uwzględniają żadne podręczniki, a którą my tak dobrze pamiętamy. Ubolewam nad tym, że w naszych wydaniach jest sporo drukowanych książek wątpliwej wartości. Do takich zaliczam kryminały. Atrakcji w życiu i bez nich mamy dość. Gdyby mogły wzbudzić zainteresowanie to chyba pod kątem drogi szukania winnych i ujawnienia faktów — to jeszcze można zrozumieć. Przykro, jeśli w takiej lekturze lubuje się młodzież. Ale na to nie zawsze możemy mieć wpływ. Muszę dodać jeszcze jedno, że w dniu 3 marca 1984 r. oglądałam premierę filmu "Wielka majówka". To takie filmy podaje się społeczeństwu polskiemu i młodzieży tej, która nie tak dawno obrzucała kamieniami karetkę pogotowia i szyby autobusów? A gdzie są wzorce do naśladowania? To ma być wzorcem chłopiec, który ucieka z domu, piwnicą zakrada się do mieszkania, wykrada z lodówki 1,5 mln zł pochodzące z wątpliwych oszczędności i buszuje szereg tygodni i choć staje przed sądem, to nie jest wzorem. Na innych wzorach nas uczono, na innych wychowywała się młodzież, która walczyła w Powstaniu Warszawskim. Gdyby jeszcze w klubach czy rodzinach przedyskutowano ten film i wyciągnięto wnioski. Drogą takich filmów nie podniesiemy kultury, ani nie wychowamy młodzieży. W tym samym dniu przyszedł do GBP chłopiec, który po raz drugi siedział w więzieniu, zwolniono go warunkowo. Jego postawa była taka, jakby wrócił z Sarajewa ze złotym medalem! On nie czuje wcale upokorzenia, wstydu, taka, niestety, jest jego postawa. Można mu współczuć. Czy na taką młodzież nasza Ojczyzna może liczyć. Pracy w naszej ojczyźnie jest bardzo dużo. Zmierza ona do tego, by reforma gospodarcza doprowadziła do wyjścia z kryzysu, poprawy warunków pracy i życia Polaków, poprawy atmosfery — i do tego musimy przyłożyć się wszyscy. Jan Pocek, rolnik-poeta, tak powiedział: "Jeśli chcesz, by Ojczyzna wzniosła się w górę, sam musisz być jej skrzydłem", a uzupełnił to Kamil Cyprian Norwid: "Ojczyzna — to wielki, zbiorowy obowiązek".

Dodatek

Chciałabym dodać trochę wspomnień na temat doli i niedoli kobiet. A oto pierwszy przykład. Byłam przewodniczącą komitetu elektryfikacyjnego w Długosiodle, który musiał zapewniać noclegi i wyżywienie ekipie i dowóz materiałów (słupy), kiedy mógł tę funkcję przyjąć tylko mężczyzna.

Drugi: Byłam przewodniczącą spółki wodnej, kiedy było tylu mężczyzn! Zakładano u nas wodę.

Trzeci: Musiałam dla nauczycieli dowozić z Ostrowi Mazowieckiej przydziały żywnościowe: mąka, nafta, kasza, cukier, kiedy byli nauczyciele mężczyźni!

Czwarty: Dwukrotnie byłam przewodniczącą komisji wyborczej: raz, gdy byliśmy przy Ostrowi Mazowieckiej, drugi — przy Wyszkowie. Głosy odwoziliśmy wtedy z eskortą w nocy, a kiedy zdaliśmy je i podpisaliśmy, byliśmy niepotrzebni Wtedy trzeba było siedzieć w kącie do rana, by przyjechać okazją do Dybek, stąd pieszo do Długosiodła, a z Wyszkowa pociągiem do Przetyczy — i do domu. Dziś taki układ byłby chyba nie do przyjęcia!

Piąty: Najbardziej mi się chyba utrwalił w pamięci. W okresie lat 1948-1950 przeszliśmy wymianę pieniędzy. W jakąś niedzielę, kilka minut po 24.00 puka ktoś do mnie i na pytanie moje, słyszę odpowiedź — "Milicja". Kiedy otwarłam drzwi, usłyszałam polecenie, że o 4-ej rano mam się zgłosić w Urzędzie Gminy na dłużej. Wtedy poderwałam się do roboty, by coś dzieciom ugotować. Wzięłam się za gotowanie klusek, no i na godzinę 4-ą zamknąwszy śpiące dzieci zgłosiłam się do Urzędu. Tu mi wyjaśniono zadanie. Do godziny 6-ej przyjmowaliśmy nowe banknoty, a wtedy radio i sołtysi ogłosili urzędową wymianę, w relacji: 1 zł za 100 zł, lokaty PKO 3 zł za 100 zł. Dopiero w dzień zgłaszali się ludzie w wymianą, gdyż do następnego dnia obecnego banknoty traciły wartość. Ludzie przeżywali nerwowo, często płakali.

Pod wiecór przyniosła p. Bodzon z Bosewa Nowego worek pieniędzy w banknotach papierowych. Pytam ją, gdzie Pani trzymała taką masę pieniędzy? Odpowiedziała mi, że na górce koło lasu pod drzewem były zakopane. A kiedy pytam, jak Pani zarobiła aż tyle? Miałam gospodarkę, oszczędzałam i wróżyłam. Wracała z pieniędzmi w kieszeni.

Ja w przerwie przyniosłam z domu swoją kasę. Nie pamiętam, czy otrzymałam siedem czy siedemnaście złotych. Dopiero koło północy zakończyliśmy akcję protokołem i byliśmy wolni. Ale dzieci (lat 7 i 11 wówczas) były cały dzień same.

Taki widocznie los kobiety wdowy!

1. Ponieważ w prasie coraz częściej spotyka się artykuły o naszym Prezydencie — prof. Mościckim — stąd dołączam zdjęcie. Jako b. młoda nauczycielka byłam na kursie wakacyjnym, biologicznym w Augustowie, wtedy witaliśmy Pana Mościckiego i uczestniczyliśmy w mszy polowej. Ja jestem druga, zaznaczyłam łukiem.

Dodatek nr 2

W pierwszym dodatku zasygnalizowałam, że często zła organizacja pracy powoduje refleks ujemny i uraz do końca życia.

Przykłady złej organizacji zdarzają się i teraz, w okresie odnowy i reformy gospodarczej. Taki przykład mam z dnia 20.IV.1984 r. A więc o godz. 10 rano Prezydium GRN i Komisja Współdziałania miała zatwierdzić kandydata na naczelnika w naszej gminie, a więc pierwsze posiedzenie. O godzinie 11-tej zatwierdzenie i ukonstytuowanie się Kolegium Wyborczego, a więc w innym składzie osobowym. O godzinie 13-tej posiedzenie komitetu obchodów Święta Pracy, a więc 1 maja. I wreszcie o godz. 17-tej objazd

kandydatów bezpartyjnych, proponowanych ze wsi: Pecyna, Majorak, Suski, Plewki, Wólka Grochowa, Piaseczna i Małoszek.

Czy to nie aż nazbyt urozmaicony rozkład zajęć społecznych w jednym dniu? I to w przeddzień Świąt?